Nro 18. R. 1837. ŚRODA 15 MARCA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

BABA KOŚCIELNA.
(*Dokończenie.*)

II.

Wiatr wył okropnie! dzwony dzwoniły i zdawało się, że nie ręka ludzka, ale ręka burzy niémi włada. — Kondukt pogrzebowy szedł ulicą — spiéwali księża, grała muzyka — ale wiatr pogasił wszystkie światła, ciemno było i straszno — dziéwczyna szła za trunną i rzewnie płakała, w ręku trzymała zgasłą od wiatru świécę i chustkę mokrą od łez i dészczu — Ona nié miała siły spojrzéć na trunnę — szła tylko, niepatrząc przed siebie — jak gdyby ją jaki instynkt prowadził, szła aż do kościoła, tam stanęła i znów płakała, a wszyscy patrzali na nią — i nikt cieszyć nie myślał — Jak Księża skończyli śpiéwanie, wszyscy wyszli, ona stała — dziad ją za drzwi kościelne wyprowadził, zatrzasnął rygle i poszedł mrucząc *Wieczne odpocznienie.* — Wiatr wył, dészcz lał, ona stała jak wryta i płakała, oparłszy głowę o mur kościelny, ale nikt jęków nie słuchał, nikt na łzy nie patrzył, bo była noc — noc głucha — a na cmętarzu po nocy nikt nie chodzi chyba duch. — Marysia płakała długo i siadła płakać na kamiéniu, i zasnęła biédna. — Obudziła się rano, żeby spojrzéć jak trunnę wynoszą, znowu pobiegła za trunną na cmętarz — pobiegła nad jamę, spojrzała w nią — a ten dół przez łzy błyszczące w oku, wydał jéj się tak okropny! — Usłyszała szmér sunącéj się po powrozach trunny — chciała się rzucić za nią, ludzie wstrzymali, potém sypała się ziemia — ona słyszała, ujrzała nad nim mogiłę z świéżego piasku, w głowie jéj przewróciło się, zaczęła śpiéwać i tańcować na jego grobie! Ludzie poszli ru-

szając ramionami — Marysia została na grobie, i tańcowała jak młoda topol wiatrem uginana, śpiéwała wesoło, śmiała się okropnie, a jak zmrok przyszedł położyła się obok mogiły, mówiąc sama do siebie — Antoś przyjdzie niedługo, i usnęła. — W północ obudziła się — koło jéj głowy stała latarka — koło niéj obok leżał trup kochanka — daléj stało dwóch jakichś ludzi, a trzeci równał mogiłę łopatą, mówiąc: — E! Panie Doktorze! ani znaku nie będzie! — ona rzuciła się na zimne ciało Antosia i krzyknęła — doktorowie poskoczyli ku niéj, grabarz cofnął się, jak by kto strzelił do niego. — Kto to? — Kto? — W Imie Ojca! — A ona odezwała się — Cha! cha! to ty Panie Doktorze! przyszedłeś léczyć Antosia! o! on zdrów. — Potém ściskała i całowała trupa. — Doktorowie osłupieli — grabarz stał drżący — jeden szeptał drugiemu — To ta dziewczyna, pamiętasz? musiała zwaryować! Nie traćmy czasu bierzmy trupa i wnogi! no! na plecy go! — Dał znak grabarzowi — Ten się zbliżył, chciał wziąść trupa, ale dziéwczyna, nie puszczała kochanka i groziła. okropnie zgrzytając zębami grabarzowi. Doktorowie stali i patrzali na to, jakby kto inny przyglądał się marjonetkom. Dziéwczyna ciągnęła sobie trupa — grabarz sobie — nie było ratunku, stary uderzył ją silnie łopatą, żeby się jéj pozbyć mrucząc pod nosem. — Będzie dwa! zamiast jednego! — Dziéwczyna krzyknęła, boleśnie — młodszy doktor poskoczył, zgromił starego grabarza, wziął dziéwczynę gwałtem za rękę i wodząc latarką koło jéj twarzy, zawołał: — W cale niczego! gdyby nie ten szał! — I! porzucilbyś te głupstwa! przerwał drugi, blada jak upior, chuda jak trzaska, zda się chyba na dyssekcyą, lub dla sprobowania mocy sublimatu arszenikowego! — Pan Konsyliarz trzymał dziéwczynę, grabarz naprzód szedł i niósł trupa, gwałtem prawie wleczona dociągnęła się do miészkania Doktora. Trupa położyli na stole, grabarz poszedł — Doktor zamknął dziéwczynę w osobnym pokoju, dał jéj wina i chleba — a sam poszedł na dyssekcyą. — Marysia nie jadła ani piła, chciała

iść gwałtem do stołu gdzie leżał Antoś, ale drzwi były zamknięte, ryczała prawie z boleści, a Doktor palił cygaro i machał bisturem! — Przyłożyła oko do dziurki od klucza, patrzała i płakała, a potém padła na ziemię bez przytomności.

III.

Mróz dochodził do dwudziestu stopni, biédna, w obdartych łachmanach Marysia, stała przeziębła u drzwi lichego domku. — W piersiach jéj brakło głosu do wzywania litości, dwie łzy do połowy zmarzłe toczyły się jéj po twarzy — te łzy mróz wycisnął, boleść na jéj sercu nic już działać nié mogła, bo to serce było przesiękłe, rozdarte cierpieniami. — Piersi jéj śliczne niegdyś, piersi były obnażone, płachta podarta okrywała je do połowy, ręce miała stulone i przymarzłe prawie jedna do drugiéj, nogi bose i czarne, na jednéj z nich trzewik, na drugiéj resztki wełnianéj pończochy. — Jęczała tylko a w tym jęku nie było słowa, lecz była prożba — ten jęk obijał się o serce jak konającego modlitwa do Boga — ludzie chodzili, ludzie jęki słyszeli — a jednak nikt jéj nie puścił do domu — stała biédna pod drzwiami — a mróz był tak okropny. Nieśmiało, powoli, otworzyła drzwiczki domku i jęknęła — z izby wyleciał głos. — A czego tam łazisz! i izbę studzisz! do Dobroczynności! zamykaj! zamykajże! — Marysia jęknęła raz jeszcze — stary, czerwony mężczyzna w brudnym szlafroku wyleciał na przeciw niéj, chciał łajać — spojrzał na piękną niegdyś twarz i stanął — ona jęczała — on słuchał — drzwi były odemknięte. — No! no! ogrzéj się — chodź! a drzwi zamknij! izbę studzisz! drwa kosztują drogo — co ty za jedna? — Marysia weszła, stanęła u drzwi i tupała nóżkami, łzy jéj płynęły, czerwony jegomość stał i patrzał — potém założył pióro za ucho i kręcąc głową, zawołał: — Co ty za jedna? — Prócz jęku nie było odpowiedzi — a jegomość nie rozumiał jęków i mruczał pod nosem — Musiała być ładna! — Był to ostatni może tryumf biédnéj Marysi — pozwolono jéj się ogrzać, nie że była biédna, ale że była ładna — Ona siedziała przy piecu, czerwony jegomość zam-

knął drzwi na klucz — milczała i oddychała ciężko. Ciepło przéjmowało jéj ciało od dwóch dni skościałe, język jéj odmarzł, prosiła jeść. Czerwony jegomość, dał jéj wódki i chleba z solą, ciągle mrucząc pod nosem — Musiała być ładna. — Chodził z piórem za uchem, pisał pozwy, ruszał ramionami i dziwował się, że ona była ładna, a taka biédna! — Było się czemu dziwować! — Marysia niezawsze była tak biédna, i tego domyślał się czerwony jegomość, ale o tém nie mówił.

IV.

Na miłość Boga! jeden groszyk Panie! — Jeden grosz biédnéj ubogiéj! — Jeden grosz ślepemu kaléce. — Zlitujcie się nademną! — Tak odzywali się żebracy i żebraczki pod kościołem w niedzielę, siedząc rzędem w kruchcie i wyciągając ręce ku przechodniom. — Między ubogiémi siedziała jedna młoda, blada, okryta łachmanami i ona wyciągniętą miała rękę, ale nié mówiła ani słowa, tylko drżała od zimna i z boleści. Kilku przechodniów dawało jałmużnę, lecz tłuste baby zawsze ją pochwyciły, na wychudłéj dłoni Marysi, ani grosz niepostał, odpychali ją jeszcze żebracy od siebie, cisnąc się po grosz jałmużny, tak że się ledwie naszczuplém siedzeniu pomieścić, i usiedzieć mogła. Szło dwie osób na mszę — Marysia wlepiała w każdego czarne oczy łzami zczerwienione, wpadłe i nieruchome, lecz nikt nie uważał — ten dawał jałmużnę bliżéj siedzącym, ów rzucał ją dla oka trafem, dla pocieszenia się przyjemnym widokiem, bitwy żebraków o grosz; inny mijał ich ruszając ramionami, inny łajał jeszcze. Ku południowi, przy końcu summy, szedł jakiś tłusty jegomość do kościoła — żebraczka spojrzała na niego i boleśnie jęknęła, on obrócił głowę, spojrzał, zdawał się coś przypominać, potém dobył dziesiątkę z kieszeni i rzucił ją na wyciągnioną dłoń żebraczki, oddalając się spiesznie. — Ona westchnęła i patrzyła długo za nim, a tym czasem obok siedząca stara kwoka porwała z jéj ręki dziesiętniczkę i spiesznie ją schowała pod fartuch. Marysia nic nie uważała, nic nie widziała, z oczu jéj łzy się toczyły, usta miała skrzywione,

patrzała przed siebie i drżała coraz mocniéj. — Tłum ludu wracał z summy, Marysia patrzyła jeszcze, ale ten jegomość wymknął się tak, że go nie widziała, tylko jakiś bogobojny staruszek, dał jéj pięciorkę, polecając jéj modlitwom duszę Anieli. *J. Kraszewski.*

PRÓŻNIACY PARYZCY.

Mój Pan wysłał mnie z listami na ulicę Sewską. Doszedłszy do kraty Luwru nad wodą, ujrzałam na jednym z pieszochodów mostu Królewskiego (Pont Royal) tłum ciekawych, przypatrujących się jakiemuś zjawisku hydraulicznemu. Była to łódź pod wodę halowana, a na którą próżniacy nasi w tém miéjscu czekali. Rozśmiałem się na cały głos. Jakiś niski Jegomość, w kamlotowym fraku, z potężnym barcabem, z parasolem pod jedną, a mopsem pod drugą pachą, powiedział mi żem parafjanin, ja mu zaś powiedziałem, że on Paryżanin i głupiec. Idąc daléj, postrzegłem Auwernjaka, ciężkiego jak koń piwowarski, który łapał muchy przed bramą pałacu, oczekując jakiego zlecenia. Pooddawawszy listy gdzie należało, wróciłem tąż samą drogą, i na moście Królewskim spotkałem znowu ze dwadzieścia kobiét, które się doskonale pływającemu przypatrywali mężczyźnie. — Zatrzymałem się przed magazynem, który wziąłem za skład wszystkich pereł Urjańskich i djamentów Golkondy. Półłokciowe głoski szyldu układanemi były z ogromnych jak pięść brylantów. W framudze zaś, w głębi magazynu, przy mahoniowym stoliku, z czaszką obciążoną djamentowemi kitkami i gwiazdkami, siedziała nieporuszona Magazynjerka. Ujrzawszy te cuda, stanąłem jak wryty, cała moja istność przemieniła się w oko, nié mogłem się napaść widokiem tych idealnych bogactw, a nie postrzegałem, że jeden człowiek, dwóch ludzi, dziesięciu, trzydziestu, piędziesięciu ludzi, zatrzymywało się po kolei przy mnie, z wyciągniętą szyją, z rozdziawioną gębą, usiłując odkryć w głębi magazynu przedmiot mojéj nieporuszonéj uwagi. Jeden z nich, mniéj od kolegów cier-

pliwy, uderzył mnie nareszcie po ramieniu mówiąc: «Cóż tam u djabła znalazłeś? — Ja nic nie znalazłem, ja się dziwię wszystkiemu, odpowiedziałem.—Patrzajcie go! krzyknął, ten mały hultaj zmarnował nam półgodziny czasu.» i paf! a echo powtórzyło dany mi policzek, zmykam dla uniknienia powtórnego, w biegu uderzywszy nogą o kamień począłem kulać. Kilku małych Sabaudczyków zaczęło mnie przedrzeźniać,... palnąłem jednego i drugiego, a sam w nogi jak strzała... Sabaudczyki puścili się za mną wrzeszcząc. Złodziéj! złodziéj! Za Sabaudczykami pobiegło: ze dwódziestu próżniaków, za temi oddział inwalidów, skaczących w takt na drewnianych nogach: psy całego cyrkułu zaczęły ujadać, kupczyki i czeladź rzemieślnicza biegli do drzwi i okien, orszak goniących powiększał się coraz bardziéj; dopełniono by nareście na mnie kary bez dekretu, gdyby próżniaków moich nie zatrzymała pijana, baba powstająca z rynsztoku. Oni zaczęli się z niéj śmiać, ona zaczęła ciskać na nich błotem: ja zaś wpadłem do sieni pewnego domu, wołając. Oh głupie miasto! oh głupi ludzie! Lecz czyż to jeden i sam Paryż jest taki?

———

IMPROWIZACYA.

———

W zimie dwie kobiéty idąc z pewnym poetą w czasie, gdy śniég zaczął pruszyć, prosiły go, aby z téj okoliczności wiérsz jaki improwizował. «Najchętniéj rzekł wiérszopis, a obracając się do swéj lubéj, te złożył rymy:

Na pierś twą białą, padł śnieżek (biały,
I bielszym od niéj się mienił,
Lecz w krótce poznał błąd swój, (zuchwały,
I z żalu w łzę się przemienił.

———

SZARADA.

———

Piérwsze z trzecim wskazując znaczy liczbę mnogą,
Drugie z czwartym, sprawują często boleść srogą,
Przez wszystko się ogłasza
Wzywa lub zaprasza.

———